WIELKIE SZCZĘŚCIE.

Szkic do powieści.

W okolicy Sandomierza, tej ziemi płynącej mlekiem i miodem, bogatéj w zboże i sady, wzgórza i pastwiska, oblanej wspaniałą Wisłą naszą i skrapianej bystremi nurty Sanu, w ziemi św. Wincentego Kadłubka (1), na téj glebie gdzie równie złota pszenica, jako też chińskie morwy i włoskie orzechy wybornie się udają, w bliskości góry święto-Krzyzkiej stał mały, drewniany domek.

Że był drewniany i mały nic w tém osobliwego. U nas nie brak małych, ubogich domków, podziurawionych spróchniałych czasem. Przez dach z gontów obdarty, zaglądają w nie ciekawe jaskółki i wróble swawolne, niekiedy odartym bokiem, jak ubogi koń żydowski, litość wzbudzają w przechodniu, bywa też i to że wybitemi szybami okienek odrażają, niby kaleka średniowiecznych czasów, oślepiony od zawistnego wroga, co niedawno mienił się jego bratem lub przyjacielem... takich więc biednych domków z których patrzy nędza, nieporządek, lub zaniedbanie mamy podostatkiem, ale ten, o którym piszę, wyglądał inaczej. Był już nie nowy, wszakże cały, czysty od dachu aż do ziemi, wybielony, jasny; szyby sporych okien złotem lśniły przy wschodzie słońca, a rubinami w chwili zachodu; frontową zewnętrzną ścianę, okrywała zieleń bluszczu, nad głównemi drzwiami był daszek, pod nim ławeczki drewniane, a przed nim ścieżka po któréj obu stronach rozścielał się wonny kobierzec kwiatów, najcudniej barwami dobranych. Dalej sad owocowy i warzywny, mały dziedzińczyk, a na nim biegające śliczne kokosze, gwarne gęsi, stąpające z powagą i kołyszące się jak wielka dama chińska, opatrzone wiosełkami u nóg kaczki. W czystéj obórce stały śliczne krówki, ładny konik hasał na przyległej łączce, pies czarny bez łańcucha wygrzewał się na słońcu, a w bliskości kilku starych lip, można było dostrzedz małą pasiekę. Czy i wewnątrz domek ten wyglądał tak ponętnie? Smiało powiem, że tak. Makat, utrechtów, zwierciadeł, palisandru i mahoniu tam nie było. Ale jasnym kwiecistym perkalem ociągnięte krzesła i sofki, wyrób sąsiedniego stolarza, prosty, niewytworny wszakże staranny. Parę zgrabnych szaf, proste, pięknie jednak zasłane łóżka, czysta i widna kuchenka, a w pokoiku gościnnym, ślicznych kilka obrazów, nad któremi królował wizerunek Najśw. Panny Cząstochowskiej. Obrazy wyraźnie były dobierane wedle tajemnych upodobań gospodarza. Sw. Michał, kopia z arcydzieła Rafaela, które znawcy w Luwrze podziwiają (1), głowa zbolałego Chrystusa podług Carlo Dolce, potop, kopia z Poussina i nieznanego mistrza utwór, Andromaka u stóp Pyrrusa, tuląca do łona śmiałego Astjanaxa, jedyne swe dziecię,



modliła się za swą i męża rodzinę i za lube sandomirskie strony, (str. 323).

(1) Miał się urodzić we wsi Włostowie, dziś należącej do rodziny Karskich.

(1) Znawcy twierdzą, że św. Michał w Luwrze *w salon carré*, ma być nie oryginałem ale dobrą kopją Rafaela.

piąty obraz przedstawiał lud w jasyr pędzony. W białych szatach włościanki sandomierskie i w takichże ferezjach mężowie tych kobiet, daléj kontuszowe postacie, i białogłowy w sobolowych lub lisich jupkach; wszystkie stany i wieki, jedną ogólną barwą nacechowane cierpienia i znużenia; wszyscy skrępowani powrozem, pędzeni przez hordę tatarską, mającą dziwnie charakterystyczne oblicze, na którem brzydota, zwierzęctwo i srogość ohydnem piętnem w rysach się wyryły.

W domku tym niedawno, bo przed laty 4ma, ciężko było i czarno, jego właściciel bowiem Ignacy S. leżał snem wiekuistym zmorzony, a wierna, kochająca i szczęśliwa małżonka Hanna, tarzała się w prochu przy martwych zwłokach tego, z którym szczęśliwie lat 20 przeżyła. Cudownem a miłosiernem rozrządzeniem Boga, rodzina jest to związek przeszłości z przyszłością; nigdy ten nie będzie bez jutra, kto ma dobrą i poczciwą rodzinę, nigdy rozpacz nie przemoże ludzkiej duszy tam, gdzie jest wiara w kochające matki, siostry, brata lub dzieci, serce. Jeden ubył i najdroższy, ale ci pozostali, a choć może nietyle kochają, choć nie rozciągną nad zbolałą lub osieroconą opieki, owszem sami potrzebować jéj będą, przecież miłość, to taka cudowna dźwignia dla istot z duszą nieśmiertelną, że jak Salomon król wyrzekł: mocniejsza nad ogień, a Chrystus okazał, że mocniejsza nad *śmierć*.

Zmarły Ignacy S. był synem niezamożnych ludzi, nauką i pracą dorobił się szczupłego mienia; prawnik dla chleba, z powołania rolnik, opatrzywszy się swych pięknych sandomierskich okolic, tęsknił w mieście za niemi a tęsknota uczyniła go malarzem. Nie malował jednak rodzinnych błoni i lasów, mówiąc że ani Klaudjusz Lorrain, ani Ruysdael, ani nikt na świecie, bożej roboty pędzlem nie odtworzy, że tego czaru, tego powabu jakie Bóg na powierzchnię ziemi spuścił, żaden człowiek w utworach swych nieodzwierciedli. Łatwiej mu swej fantazji twory rzucać na płótno niż naśladować Stwórcę i dla tego pan Ignacy (choć może w zdaniu swém błądził) malował tylko obrazy z dziejów sandomierskiej ziemi, unikając starannie drzew, pól, łąk i słońca, żeby, jak powiadał, nie *parodjować* tych piękności. Gdy pracą i oszczędnością zebrał sobie coś grosza, nabył w rodzinnej swej wiosce kawałek ziemi, zabudował, zagospodarował i złożywszy urzędowanie osiadł na swem gospodarstwie z piękną młodą Hanną, która lat parę przed tém, na wieki miłość mu ślubowała. Raz podczas ferji, bogaty krewny państwa S. (a któryż biedak niema bogatych krewnych) bogaty krewny prosił go by odwiózł jego synów za granicę i sumiennie, a nawet ochotnie pan Ignacy tego dokonał. Przejrzał kawał świata, przypatrzył się obcym ludziom, westchnął gdy spostrzegł kędy coś lepiej jak w domu, zamyślił się kiedy w stolicy świata cywilizowanego, w Paryżu, spotkał najokropniejszą nędzę, lub najstraszniejszy moralny upadek w massach; rozpływał się z radości w galerjach Paryża, Drezna i Berlina; pokochał bardzo lud południowych Niemiec, za jego wytworność, pracowitość, brak zarozumienia i wykształcenie, żałował iż na podróż do Włoch i Szwajcarji czasu i pieniędzy już mu zabrakło, a powróciwszy do siebie gdy znów zaczął deptać łany sandomierskie, płakał z radości wykrzykując: jakie to niebo, jaka ziemia! co za powietrze! jakie noce gwiaździste, jakie pyszne wody! takich drugich na świecie niema. Były są i będą piękniejsze od tych na świecie, ale pan Ignacy gorącą duszą artysty rozmiłował się w swej okolicy. Biedny gród Kazimierza Sprawiedliwego, bielejący dziś ruiną, stara wieża sterząca od wjazdowej w Sandomierzu bramy, tudzież piękny w samej rzeczy pomnik Szydłowieckich w Opatowie, miały dla niego większy powab, niż Panteon i gmachy Paryża lub pałace Berlina. W te same czary zdobną była Hanna jego żona, kochał też ją po swojemu z zapałem i uwielbieniem, dzieci ich, dwóch synów i trzy córek, to anioły z rafaelowskich obrazów, duchem bożym (jak mawiał) natchnione, słowem u niego wszystko było dobre, piękne, rozumne, skoro swojskie; złego nie widział nigdzie, ani u sąsiadów, ani u sług, a trzymała go się sama poczciwa czeladź, gdy zaś anioł śmierci zawitał doń pod postacią jakiejś gorączki, panującéj podówczas, pan Ignacy rad był, że na żadną z cudzoziemska nazwaną chorobę nie umiera, i z pokojem chrześcjanina, z nieograniczoną w miłosierdzie Stwórcy swego wiarę, powtarzając akty miłości, wiary i nadziei, pocieszając żonę, a błogosławiąc dzieci, zasnął jako sprawiedliwy.

Najstarsza córka państwa S. Zofja, poszła już za mąż jeszcze za życia ojca. Jakiś szkolny przyjaciel pana Ignacego, miał syna jedynaka z niezłym mająteczkiem, Zosia i siostry jéj wcale były nieposażne, ale pan Jacenty rozejrzał się po znajomych sobie panienkach i choć wiele było urodziwych, niektóre bogate, każda zaś *dobra jak anioł* (wszystkie bowiem panny na wydaniu, muszą mieć tę własność anielstwa póki są pannami; wszyscy zaś kawalerowie do wzięcia, bywają ludźmi *wyższych* umysłowych zdolności i *prawego* charakteru. Później nikną jakoś te zalety ale przed ślubem są nieodzowne u stron obu), jednak młody Jacenty wyznał ojcu, że panna Agnieszka za dużo na sługi łaje, małych zaś braciszków za mocno potrąca; że panna Karolina strasznie ufa w swój rozum, wszystkich głupiemi nazywa i o zgrozo! własnych niedość szanuje rodziców. Panna Izabella piękna bardzo, ale do niczego, matka bowiem chorowitą jedynaczkę w puchu trzyma i do wszelkich zbytków przyucza, dwie zaś panny Piotrówny założyły w salonie rodzicielskim szkołę obmowy, a z trzech córek pana Pawła, Aniela, istny anioł, już zaręczona, Wanda za nowy kapelusz gotowaby sprzedać swą duszę, Kamilla zaś gra i śpiewa

fałszywie z tém przekonaniem, że jest najpierwszą artystką nietylko w okolicy, lecz w całéj Europie. Rozśmiał się ojciec na te młodzieńca utyskiwania; czyś tam jakiej *zbyt uczonej* nie odkrył? zagadnął żartobliwie. Przyznał Jacenty, że ani wmęzkiem, ani w żeńskiem towarzystwie, nigdzie zbytku uczoności nie dostrzegł, lubo sam nieźle szkoły i bardzo dobrze ukończył uniwersytet, lecz że znał kilka i takich młodych osób, które ponieważ dość udatne piszą powieści i wierszyki, więc pozwalają już sobie z góry najzawilsze rozstrzygać kwestje, co jemu nie znoszącemu zarozumienia wcale nie w smak bywa. Zosia jedna wydawała się bez wad panu Jacentemu, a stary ojciec lubo życzył sobie synowej z wianem, wolał przecież szczęście dla jedynaka, niż pieniądze i 18-letnie dziewczę z pod romantycznej strzechy ojca artysty, weszło w porządnie zamurowany dwór, ze starym sadem ocienionym szpalerami, któremi wiodła droga do nowozbudowanego kościoła, gdzie pobożna Zofja często ze łzami się modliła za swą i męża rodzinę i za lube sandomierskie strony, od których oddalić się o kilka mil musiała.

Starszy brat jej Stanisław, opiekun owdowiałéj matki i młodszego rodzeństwa z obowiązku i z upodobania został na małém ojcowskiem gospodarstwie. Czarne oczy młodej sąsiadki, lat dziecinnych towarzyszki, przykuwały go do miejsca, z bólem serca widział jednak i mawiał że Jadwinia ma wstręt do niego. Pusta, żartobliwa, śmiejąca się ze wszystkiemi, odkąd wyrosła na dziewicę, odtąd z nim jednym rozmawia poważnie, stroni nawet często od niego i żadnem miłem słówkiem, ani wesołym, nie ośmieli go, uśmiechem. Z sąsiadkami Jadwiga o Stanisławie nigdy mówić nie chciała; uwierzyły też wszystkie równie jak i Stanisława rodzina, że Jadwiga nie cierpi tego młodzieńca, lecz wstręt Jadwini do Stasia nie podobał się matce panienki; tam gdzie inni widzieli odrazę, bystre oko matki-kobiety dopatrzyło miłości tem żywszej, im silniej ukrywanej. Pani R. dla swej najpiękniejszej dzieciny, bo taką była Jadwiga, marzyła o hrabiowskich, bodaj nie książęcych koronach, a dziewczę upodobało sobie jakiegoś biedaka, bodaj czy nie z mieszczańskiego stanu, lubo rzeczywiście Stanisława naddziady pieczętowały się prawnie i słusznie herbem *Poraj*. Drugi brat Zofji, Wincenty, bawił w Dreznie, ucząc się na artystę-malarza, Salomea i Bronisława młodsze pana Ignacego córki, miały sobie pod okiem matki oddany zarząd domowy, każdemu zaś wiadomo ile w kraju tak rolniczym jak nasz, pracowita gosposia zrobić i zarobić może. Zosia dostała od męża parę ślicznej rasy baranków, te poszły zwiększyć dobytek ojcowski; wełny z rozmnożonéj trzódki nie było wiele, wszakże siostry Zosi prząść i farbować wełnę umiały, a nauczone od sługi warmijaczki, ładne kobierzyki i barwne wyrabiały wełnianki. Był to dochód; obora i drób starannie hodowane, sad warzywny pielęgnowany troskliwie z poradą bogatych a umiejętnych i postępowych gospodarzy, pasieka dostarczająca miodu, na którego sycenie pan Ignacy dostał od księży przepis, tak że miód jego zasłynął aż w dalszych powiatach, którą to sławę Stanisław usilnie podtrzymywał; stanowiły kilka drobnych źródeł, zkąd wypływał dostatek całéj rodziny. Matka zabierała zysk cały i dzieliła na 10 części, z tych jedna po staremu była ku ozdobie pańskich ołtarzy, druga dla ubogich, trzecia dla sąsiadów w potrzebie, a siedm pozostałych na cztery dzielone części, dla dwóch synów i dwóch panien. Matka nie wiele dla siebie wymagała. Lecz młode dziewczęta miały rozleglejsze widoki. Wincenty *musi być* wielkim artystą, a Staś *musi zostać* bogatym, żeby się z Jadzią ożenić. Salusia żywa i czynna *powinna mieć* wielkie dobra, dla Bronki zaś marzącéj i pięknej jak Madonna, złocistych salonów *potrzeba*. Tak rozmawiały ze sobą córki p. Ignacego; gdyby żył ich ojciec serdecznie i wymownie byłby im dowiódł, że na świecie prócz cnoty, światła i wiary, nic być nie *musi* i niczego gwałtownie pragnąć nie trzeba. Gorączkowe zachcianki nasze bywają zwykle szkodliwe i niedorzeczne, zdać się zatém na wolę Najwyższego, to prawdziwa mądrość człowieka. Lecz pani Ignacowa z uśmiechem słuchała rozmów i urojeń swych dzieweczek. A czemużby, myślała sobie, dzieci moje nie miały zajść daleko? nie miały wznieść się wysoko? Biedna matko! *wysoko* i *daleko* na *tym* świecie! wszakże ziemia jest okrągłą jak stół godowy, przy którym niema pierwszych miejsc ani ostatnich, wyjąwszy takich które przybliżają nas do Boga.

Kiedy Staś gospodaruje w pasiece, na roli i w oborze, Salusia i Bronka w sadzie, kuchni i przy tkackich warsztatach, Wincenty pracuje w Dreznie, wchodzi w domy wielkich panów, żyje brat za brat z artystami, księżniczki i baronówny zaprasza do tańca, słowem przybiera ton, układ i wytwór wielkiego pana. Wincenty pracuje, więc zarabia, nauczony w domu żyć na małem, oszczędza, lecz nic uzbierać nie może. Są wydatki nieodzowne i nieprzewidziane dla człowieka w wielkim żyjącego świecie, tem cięższe dlań, im dawniej były mu mniej potrzebne. Wincenty zaprzyjaźnił się szczerze z młodym baronem, który ocenił w synu pana Ignacego, rzadkie umysłu i serca przymioty. Baron nie był sasem lecz bogatym z nad Renu posiadaczem ziemskim, zaprosił raz na święta do swego zamku artystę, a podróż ta i pobyt u barona, wyczerpały całoroczny Wincentego dochód. Bogaci przy najlepszém, najszlachetniejszém sercu, nie mogą zrozumieć położenia klassy, równie jak oni wykształconej a niezamożnéj. To co dla nich jest potrzebą, dla pracujących na swe utrzymanie bywa często szkodliwym zbytkiem; co im wydaje się taniem, uboższy od nich drogiem je-

szcze nazywa, co zaś bogacz mieni utrudzeniem lub niewygodą, w tém ubogi przyjemność i częstokroć miłą upatruje rozrywkę.

Baron Artur nie domyślał się, aby podróż na statku w pierwszej klasie mogła nadwerężyć dochody przyjaciela i żeby sprawienie nowego ubrania, na modłę sukien barona, miało być czemś nadzwyczajnem w budżecie artysty. Wesół że ma ze sobą Wincentego, przybywszy na zamek w obiadowej porze, nie omieszkał przedstawić go ciotce swej kanoniczce, pięknej, wysokiej, czarno ubranej niewieście i powabnéj Matyldzie swej najmłodszej siostrze. Matylda miała główkę romansową; prawda że cudne brzegi Renu, iż legendy krążące tam w powietrzu, że wysokie muzykalne usposobienie, za wymówkę posłużyć może téj chorobliwej organizacji niemek: romantyczność bowiem i romansowość, są to niebezpieczne oznaki umysłu niepatrzającego na świat boży, trzeźwo. Dość mamy piękności i cudów na okół siebie, czemuż zatém błędną myślą gonić za nieujętem i niewidzianem, depcząc obojętnie rozkwitające u stóp naszych kwiaty, lub zamykając oczy na promieniste gwiazdy niebiańskiego stropu, by marzyć o niebieskich migdałach. Ale Matyldzie cudnie było z tą zamyśloną minką, Wincenty sądził że pod tem śnieżnej białości, wzniosłem czołem, ważą się jakieś głębokie zagadnienia, istność lub szczęście serafinów mające na widoku. Tymczasem baronówna marzyła: czy błękitne lub pąsowe przypnie dziś do włosów kwiaty? jak je upnie? i w czém lepiej będzie? ale gdy Artur przedstawił jej przyjaciela, usłyszawszy że to malarz, podniosła ciekawie błękitne zamdlone oczy, spostrzegłszy tę męzką postać, piękną dla niej nowością wyrazu i typu, promienną zachwyceniem, baronówna zapomniała o ubraniu głowy, bo jakiś głos szepnął jej: oto twój ideał.

Nie przewidywał Artur, że sobie szwagra, przywozi; kochał Wincentego jak przyjaciela, wszakże członkiem swej magnackiej rodziny wcale go mieć nie pragnął. Ale Matylda tak skora do rzucenia swego serca w ręce pierwszego lepszego błędnego rycerza, po tygodniu pobytu Wincentego, dała mu do zrozumienia że, *nawet w chatce byle z nim.* Gdy zaś szlachetny młodzieniec bronił się tym romansowym affektom, powiadając, że ubogim jest człowiekiem i że domek leśniczego barona Artura, większy nawet od domku gdzie cała jego przemieszkuje rodzina, Matylda znalazła tysiąc dowodzeń, z których zawsze wypływało to: iż ona bogatą jest panią, więc że im bieda nie dokuczy. Wincenty słuchał coraz chętniej łudzących romansowej dziewicy rozmów. Z legend, najczęściej powtarzała mu takie, w których błędny rycerz uwalnia i zaślubia księżniczkę; śpiewała cudne pieśni pełnym uczucia głosem; zmiękł hart sławiańskiego ducha i młodzieniec ze łzami rzucił się na piersi przyjaciela, prosząc barona o rękę jego siostry, bo jeśli mu jej nie da, to się zabije. Artur był dumny lecz młody, chwilę gorzko podumał, znając jednak gwałtowność nieszczęśliwej miłości, nadto przekonany, że Matylda jest rozpieszczone i pełne fantazji dziecko, zezwolił na związek artysty z baronówną. Młoda para tę zezwolenia braterskiego chwilę, mogła nazwać swem ziemskiem wniebowzięciem, zdawało się bowiem obojgu, że niema już na ziemi zachwytu jakiby dorównywał ich radości, lecz gdy ciotka kanoniczka z niechęcią tę wieść przyjęła, gdy grafina Berta, siostra Matyldy pełnym dotkliwych żartów listem, własnę miłość jej ubodła. Matylda chłodnąć poczęła w zapale do swego ideału, a w dzień ślubu, gdy ten ideał coraz bardziej rozkochany, żadnych nie złożył jej w upominku brylantów, baronówna zupełnie ochłodła i zimnemi usty wymawiała świętą przysięgę katolickiego kościoła, którą dwie dobrane dusze łączą się na cały trud doczesnego życia.

Tymczasem pani Ignacowa listem o szczęściu miłego syna zawiadomiona, opamiętać się wuniesieniu swem nie mogła. Brat baron, myślała, siostra grafina! przyjadą tu i jedną, a może obie córki moje zabiorą, aby je za grafów powydawać; zabolało serce matki na tę myśl, że obie domek jej porzucą, wszakże ich pożytek przekładając nad własne szczęście, gotowa była powydawać je do Chin, byle świetnie, byle szczęśliwie. Stanisław nie tak radośnie przyjął wieść o małżeństwie brata, stracony dla nas, dla sztuki, a może i dla człowieczeństwa, rzekł do matki. W świecie europejskim nie ma kast i często biedak wyrasta na dostojnego pana, bogacz schodzi na żebraka, lecz odbywa się to powoli, stopniowo, a nasz Wicuś w ciągu miesiąca z ubogiego artysty, został mężem wielkiej damy, tyle mającéj pojęcia o wartości pieniędzy, ile ten oto gołąbek fruwający po sadzie. Wincenty pisze mi, że się już zadłużył, tysiąc talarów drobnostka! lecz po polsku to dziś znaczy siedm tysięcy złp.

Jest tam coś w kassie, rzekła matka, siostry nadbiegły i pokazało się, że wszystkiego razem i sześciu nie będzie tysięcy. Przepadł grosz kościelny i ubogich: przepadła dzierżawka dla Stasia, na której zwolna miał się dorabiać majątku żeby rękę Jadzi pozyskać, lecz siostry dowodziły mu, że skoro Wincenty mógł ożenić się z baronówną, to szlachcianka taka jak Jadzia, za szczęście mieć będzie, gdy ją Stanisław raczy pojąć w małżeństwo. Po sąsiadach wieść gruchnęła iż dom pani Ignacowej nawiedziło wielkie szczęście! Syn ożenił się z baronówną i bogatą. Jacenty jakoś nie był rad temu, a piękne jagody Zosi łzami się zalały gdy z listu wyczytała, co za szczęścia dostąpił Wincenty? Czém dla niego było to wielkie szczęście, Bóg tylko sam wiedział, nigdy bowiem przed nikim, nawet przed matką Wincenty nie wyznał, co cierpiał po ślubie i jaką żółciową goryczą, zapisane były miodowe jego miesiące. Zobojętniała dlań baronówna, spo-

strzegała co chwila, że mąż jej nie ma tych pańskich nawyknień w których ona wzrosła, nigdzie nie umiał być panem, ani ze służbą, ani w podróży, ani nawet u stołu. Zdarzyło się, że lokaje chcąc sobie zadrwić z plebejusza, co śmiał nie mając odpowiednich bogactw, sięgnąć po rękę wielkiej damy, nie odmienili mu przy obiedzie noża i widelca po jakiemś daniu, i... o! wstydzie, Wincenty nie poznał się wcale na tém. Ale Matyldę żywo ubódł taki brak wytworności, myślała więc czyby nie żądać już rozwodu? będzie może trudno, wszakże ciocia kanoniczka i graf szwagier mają znaczne wpływy, to i rozwód jakoś jej ułatwią. Prawda że w rozmowie, w delikatnem z ludźmi postępowaniu, w staranności około swej osoby. Wincenty nietylko dorównywał lecz przewyższał wielu baronów i grafów; myśl jego bujała po obszarach ducha orlemi prawdziwie loty, a w sercu było coś tak tajemniczo świętego, tak szczytnie miłością i zapałem tchnącego, że Matylda chwilowo zapominała swej obojętności, mając prawie ochotę pokochać go, powtóre. W jednéj z takich chwil objawiła mężowi chęć poznania się z jego rodziną, o której rzewnie i często wspominał. Uradowany Wincenty napisał zaraz do matki zwiastując o swem przybyciu, żeby zaś dom rodziców męża, milszym wydał się wielkiej damie, Wincenty nakreślił planik upiększeń i poprawek jakie matka porobić łaskawie zechce, by ich dom miał pozór szwajcarskiego szaletu. Szczęśliwa iż ujrzy syna od kilku lat już nieobecnego, że powita synowę, p. Ignacowa skwapliwie zajęła się poprawkami wskazanemi planikiem Wincentego. Trzeba jednak było zacząć od usunięcia niektórych krzewów, ręką nieboszczyka męża sadzonych. Ze smutkiem na czole, z wielką i nieco gorączkową odwagą, sama pani domu ujęła za rydel by krzewy z ziemi wyjąć, Stanisław tymczasem chodził koło gospodarstwa, głośno powtarzając satyrę Krasickiego: *Modna żona.*

Gdzie sala? Tu jadamy. Kto widział tak jadać!
Mała izba, czterdziestu nie może tu siadać.
Aż się wzdrygnął Franciszek skoro to wyrzekła,
A klucznica natychmiast ze strachu uciekła.
Jam został, idziem dalej,... i t. d.

Pani Ignacowa tymczasem wykopała już z korzeniem rozrosły krzew bzu; leżał on jak zwyciężony rycerz na ziemi, wyciągając ku ludziom zielone swe ramiona. Już rydel odgartywał ziemię z korzeni róż i jasminu, gdy przypadkiem czy umyślnie przyszły do ogródka dziewczęta, za niemi zaś nadbiegł Stanisław. Ujrzawszy rozorany grunt, nieład, w tak pięknie, tak smakownie przez ojca zasadzonych kwietnikach, Salusia załamała ręce, siostra jéj stanęła jak wryta, Stanisław zaś z czułością pochwycił obalony krzew na ręce mówiąc: Ojciec go tak lubił i pielęgnował,... o! biedny domku nasz! I na ten wykrzyk Stanisława, rzucili się wszystko troje ku matce, nogi, ręce jej całując i prosząc aby w domu gdzie ojciec ich żył i umarł, w domu tak dla nich i dla obcych nawet uroczym, nic, póki oni żyją nie odmieniała. Nie trzeba o to bardzo było prosić poczciwej matki, lecz kłopotała się nieco, że Wincenty z jej przyczyny dozna zawodu, może go ten postępek urazi, może nawet z żoną poróżni.

Z żoną poróżni! powtórzyła praktyczna Salusia. Wielkież to wielkie, musi być Wincentego szczęście, kiedy o jakich kilka desek i parę krzewów inaczej niż baronównie się zdaje, ustawionych, Wicuś ma znosić fochy żony! I porwały obie dzieweczki wykorzeniony krzew, na dawnem zasadziły miejscu, pieściły, całowały te gałązki, które drogiego ojca ręka obcinała i pielęgnowała. W domku więc ich zostało wszystko a wszystko tak, jak bywało przed laty, czyste, wychuchane, powabne ale takie same. Trapiła przecież panią Ignacowę myśl, że dom ich nie będzie miły synowej. Nadjechała Zosia z mężem i ojcem, uradzono tedy, że jako do mieszkającéj siostry po drodze, Wincenty do nich wprzód wstąpi.

„Nie mam ja zamku, mówił teść Zosi, ale wieża kościoła naszego i dla baronówny coś znaczyć będzie. Sprosimy też przyjaciół, sąsiadów, po swojemu ugościmy, w żadne zamorskie nie wdając się wybredy, a że każdy z nas nieźle mówi po niemiecku, to chyba pani bratowo (tak nazywał Ignacowę) przyswoimy jakoś owo niemieckie dziwo.“

W oznaczonym dniu czerwca roku **** zjechał Wincenty w dom Zosi, tam poznała Matylda i nadobną siostrę męża i niektórych krewnych lub powinowatych jego. W zamożnym Jacentego dworze, dostatek łączył się z prostotą ale tak wytworną, że baronówna zaczęła inaczej jakoś o pochodzeniu męża swego trzymać. Po kilku dniach mile spędzonych, Zofja odgadując tęsknotę matki, uprzedziła ją listem, a zabrawszy bratowę do lekkiego koczyka, na którym herb Nałęczów umyślnie trochę jaskrawo wymalowany został, pojechała do rodziny; podążył zaś bryczką Wicuś z Jacentym za niemi, a teść Zosi z kilkoma powinowatemi już ich wyprzedzili. Gdy się powóz przed p. Ignacowej domkiem zatrzymał, wykrzyknęła Matylda zachwycona pięknością położenia i urządzeniem zewnętrznem.

„Tu mąż się twój urodził, rzekła jej Zofja, i przybliżającemu się aby je wysadzić z powozu, bratu, oddała żonę mówiąc, by pierwsi w ojczyste weszli progi.

Stała już z bijącem sercem, wśród wonnych i barwnych kwiatów, rozczulona matka, za nią czerniło się z kilku osób złożone towarzystwo, dziewczęta służebne i parobek, a wszyscy w świątecznych szatach należeli do witających i wedle ułożonego programu, każdy miał tam coś oddać, coś powiedzieć synowej baronównie. Lecz nic a nic nie odbyło się podług programu. Wincenty szedł zwolna, gdyż nogi pod nim ze wzruszenia drżały, Ma-

tylda kroczyła także powoli, trochę z dumy, trochę z obojętności. Matka do niej miała najpierw przemówić, ale spostrzegłszy dawno niewidzianego a tak ukochanego syna, którego twarz zupełnem była odbiciem zmarłego małżonka, pani Ignacowa postąpiła ku niemu wyciągając ręce, on zaś przycisnąwszy do serca tę pełną świętéj, macierzyńskiej miłości pierś swej rodzicielki, upadł wzruszeniem, szczęściem i lat młodzieńczych wspomnieniem naciśnięty, do nóg najdroższej matki. Matylda widząc tę piękną postać młodzieńczą nagiętą ku ziemi, obejmującą kolana macierzyńskie, a tak niebiańsko w téj chwili uroczą, przypomniała sobie ustęp biblijny; powrót młodego Tobiasza do domu; porównała siebie do Sary córki Raguela i obejrzała się czy gdzie nie stoi nadziemski ich przewodnik, anioł Rafael. Tego przewodnika zastępowała dla niej pamięć cnót ojca Wincentego; Matylda uczuła że w szlachetną weszła rodzinę, a spuściwszy pokornie oczy, ślubowała Bogu z głębi serca, iż szczęście męża oraz jego krewnych, stanie się odtąd głównem życia jej zadaniem, poczem szybko stanęła obok Wicusia i skłoniła się do kolan jego matki. Klęczącą tę parę, jednym uściskiem podniosła i przytuliła do siebie pani Ignacowa; przyszła kolej na siostry, na krewnych, na czeladź, odbyło się wszystko czule, serdecznie ale w brew programu, szczęściem Wincenty nie spostrzegł iż domek ich nieprzerobiony na szwajcarski szalet.

Szczupłym okazał się posag wielkiej damy, prosiła jednak męża by w sąsiedztwie Zosi kupił jaką włość, na co ledwie że starczyło; dziś jest już z niej wyborna, praktyczna gosposia, nie marzy o ideałach, ale wzorem jest cnoty i dobroci tak dla sąsiadów, jak dla własnej dziatwy.

Staś podobno rękę Jadwigi pozyska. Jej mama zmiękła bardzo odkąd baronówna upadła na kolana przed panią Ignacową. Przyznała sąsiadce patent na rzadki takt i niezwykłe cnoty, choć nam się widzi, że pani Ignacowa ani lepszą ani gorszą nie jest, tylko taką jaką dawniej była. W kilka tygodni po przybyciu Wincentego z Matyldą, Salusia pytała zamyślonej Bronki, czy marzy o jakim baronie, żeby matce i rodzeństwu sprawić także *wielkie szczęście*? Kochana siostrzyczko, odparła Bronisia, teraz dopiero zrozumiałam co kiedyś ksiądz pleban prawił na kazaniu: „Jeżeli umiarkowanie piękną jest cnotą, najbardziej przecie chrześcjanom przystoi.“ Niechcę tedy wielkiego szczęścia, oby mi tylko Bóg raczył dać umiarkowane powodzenie.

— To znaczy, wtrąciła Salusia, że poczekasz, póki pan Stefan młynów swoich nie urządzi.

— A ty, odrzekła Bronisława, nie odrzucisz ręki pana Mateusza, jeśli poprosi byś wdowieństwo jego rozweselić chciała.

Zarumienione obie rozśmiały się wesoło, ale Salusia dodała poważnie. Może ani pan Stefan, ani pan Mateusz, czegóż znów tak już koniecznie ma być to, nie owo? Pamiętaj Bronisiu co tak ładnie Kochanowski wypowiedział, że:

Sam Bóg zna przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek troszczy więcéj niźli trzeba.

J. Janiszewska.

PEDAGOGIKA,

O ZABAWKACH DZIECINNYCH.

Żyjmy dla naszych dzieci, aby im lepszą przygotować przyszłość. *Froebel.*

I.

Co, zajmować się będziem dziecinnemi zabawkami? Czy autor dotykając tego przedmiotu nie zrobi z niego przypadkiem jakiej kwestji poważnej? A cóżby można powiedzieć o zabawkach dziecinnych? Czyż niedość iść do sklepu i wybrać co piękniejsze lub ciekawsze aby uwagę dziecinną zajęły? Czy tej sztuki wyboru potrzeba uczyć którąkolwiek z matek? Te pytania i te wątpliwości widzę na ustach każdej z moich czytelniczek, po przeczytaniu powyższego tytułu. Z góry więc odpowiadam, iż niezawodnie zajmować się będziemy zabawkami, jako kwestją pedagogiki i wychowania dziecinnego i to w sposób poważny. Dalej, że zamierzamy rozebrać pytania, które właśnie zabawki urządzać lub zakupić należy aby i ciekawość dzieci zająć czyli ich zabawić i wzniosły cel kształcenia tych istotek osiągnąć. Nie ulega już bowiem dziś wątpliwości, że kwestja zabawek dziecinnych wchodzi w zakres pedagogiki i przy wychowaniu racjonalnem młodego pokolenia, musi zwracać pilną matek, ojców i nauczycieli uwagę. Że u nas dotąd niewiele się o to troszczono, przypisać należy niezmiernie niskiemu stanowi nauk pedagogicznych, tak niskiemu iż zadziwienie i ból sprawia. W piśmienni-

ctwie naszem, naliczylibyśmy mnóstwo książek poświęconych hodowli owiec, koni, świń, psów gończych, ale zapytajmy się ile ich jest zajętych wychowywaniem ludzi? Pisma nasze podają sprawozdania z ruchu przemysłowego, handlowego, z wynalazków, z powieści obcych i t. d., lecz gdzie są stałe rubryki poświęcone pedagogji, która uczy jak kształcić ludzi?

Nie dziw więc, że przy takiém zaniedbaniu najpoważniejszej wiedzy i sztuki, która powinna być własnością każdego, cokolwiek więcéj ukształconego umysłu, zabawki dzieci mogą się wydawać rzeczą błachą, niezasługującą na istotną dyskusję. Zapytamy się jednakże na odwrót matek, nauczycielek, bon, co stanowi trudność ich pracy łożonej na wychowanie maleńkich dzieci? Odpowiedzą zapewne, że nuży ich ta ciągła potrzeba pieczołowitości, czuwania, bawienia tych drobnych istotek, które w swym naturalnym instynkcie objawiają nieustanną chęć zmiany, ruchu, zajęcia, a same sobie wystarczyć nie mogą. Taka odpowiedź nie będzie rzeczywistością, najczulszy bowiem, najbardziej przywiązanem sercem kierowany instynkt macierzyński, rzadko zaradzi w całéj rozciągłości trudnościom powyższym. Mniej naturalnie spodziewać się trzeba tego od nauczycielek, bon lub nianiek, które ani instynktu, ani znajomości natury dziecinnej najczęściej nie mają, zabierając się do pełnienia swych obowiązków. Jeszcze z pieczołowitością około potrzeb materjalnych dziecięcia, około jego stroju, pożywania, dozorowania i radzenia w czasie zwykłych temu wiekowi chorób, częściej spotkać się można nawet u nas, ale z umiejętnem prowadzeniem, któreby dozorującym i dzieciom było przyjemne i pożyteczne, prawie nigdy się nie spotykamy. Zwykle w zamożniejszych nawet rodzinach, jeżeli matka nie zajęta jest gospodarstwem, to poświęca chwile swe dzieciom pieszcząc je i z niemi figlując; Ale jak? najczęściej bez żadnej przewodniej myśli, wyrażając swą miłość przez czcze pocałunki, niezrozumiałe dla dzieci słowa pieszczoty. Nie myślimy ganić okazywanej dzieciom czułości; potrzebują onę pieszczot jak kwiaty słońca, ale zaiste w cóż się obrócą kwiaty jeśliby je rażące promienie Feba złocistego paliły nieustannie? To téż dzieci mimo największego do swych rodziców przywiązania, prędko się nużą temi objawami miłości i często z objęć matki wyciągają drobniuchne dłonie do lada obcej a nieznanej im osoby, lub też do jakiej zabawki. Prędzej jeszcze naturalnie przykrzą się dzieciom pieszczoty obcych. Mówimy tu o najlepszym razie, o tym szczęśliwym wypadku gdy dzieciom przyświeca miłość matki, troskliwość ojca, staranie domowników. A przecież większości choć jednego, jeżeli czasem nie wszystkich tych warunków nie dostaje.

Dziecko, które po pieszczotce zejdzie z kolan swej matki, lub z rąk bony albo niańki, musi się czemciś zająć. To konieczność. Zwykle problemat ten rozwiązywany jest stawianiem przed dziećmi zabawek, jeżeli czas nie pozwala na przechadzkę lub wiek na zasadzenie nad książką. W domach więc zamożniejszych otaczają zabawkami, stawiają ad niemi niańkę lub sługę albo nawet i bonę, której zadaniem bawić dzieci. Zdawałoby się iż cel osiągnięty, a mimo to dzieci przy całéj obfitości zabawek, prędko się niemi nudzą, przy wszystkich wysiłkach bony i niańki szybko opuszczają te przybory i albo w bezmyślnych skokach, albo w zbytkowaniu, rozbijaniu się, psuciu ubrania, sprzętów, w bijatyce, krzykach i płaczu, czas swój przepędzają. Ileż to zmartwienia wtedy, ile przykrości zrządzają te drobne istotki, które mają być źródłem rodzinnego szczęścia. Dom cały zmieniony jest w rajtszulę hałaśliwą, domownicy nie mogą się żadnemi pracami wymagającemi cichości zająć, głowa rodziny ojciec, stroni od domowego ogniska, gdzie tylko krzyki niesfornych dzieciaków płoszą pogodę jego czoła, matka w utrapieniu i ciągłéj walce wyczerpuje swą miłość i cierpliwość. Jednem słowem rozrywa się rodzina, przez to, co ma być najświętszym węzłem jej spójni.

Wtedy to nieraz słyszemy narzekania: moje dzieci są nieznośne! każę ich pilnować, bawić, mają wszystkie o jakich zamarzą zabawki, a mimo to takie natury zbytne! Straszną mam z niemi mękę!

A czy skarżący pomyśleli kiedykolwiek co może być przyczyną tej natury zbytniej, tych wybryków niesforności, psotności w dzieciach? Czy pomyśleli dla czego te wszystkie, częstokroć zabawki kosztowne lub sztuczne, tak szybko obojętnieją dzieciom? Zaiste nie pomyślano, a szkoda! po krótkim bowiem namyśle i obserwacji spostrzeżonoby że faktu tego dwojaka jest przyczyna: 1o. Niestosowny wybór natury zabawek dotąd używanych. 2o. Dzieci nie wiedzą co mają zrobić z tym fantem, który się dostaje w ich ręce.

Rozpatrzmy się jakie to zabawki dochodzą rąk młodego pokolenia. Dziewczynka dostaje lalkę, i obręcz, chłopczyk otrzymuje biczyk, szabelkę, bębenek, trąbkę i t. d. Co dzieci mogą z temi zabawkami zrobić? Skoro, czy to gwoli jakiej uroczystości, czy łaskawości rodziców, jawi się piękna lalka przed małą dziewczynką przed niemowlęciem nawet, następuje wybuch radości, ale nie większy jak kiedy się dziewczynie kupi obręcz lub piłkę czerwoną. Dla czego? Bo mówmy sobie co chcemy, ale żaden tu instynkt niewieści objawić się nie może (rzecz to bowiem nabyta) ale proste podrażnienie ciekawości. Nowość bawi, więc dziecko rękę wyciąga. Lalka podoba się bardziej od piłki bo się świeci więcéj, jest pięknie ubrana. Dalej że więc oglądać ją na wszystkie strony, a dziwować się trzewiczkom, sukience, wstążkom, jednem słowem temu co dziecko u siebie widzi. Gdy ten perjod podziwiania przeminie, młoda dziewczynka

zaczyna piastować lalkę, rozmawiać do niej, ale i to milutkie szczebiotanie ma także swoje granice. Lalka nie odpowiada. Więc zabawa skończona. Niestety! tak jest, z większą połową lalek pięknie ustrojonych. Idą w kąt jak i wiele lalek salonowych, które wartością podobne są do tych cacek, co zrazu tak silnie zachwycają. Inna rzecz jeżeli lalka urządzona praktycznie rozbiera się ze swej garderoby. Wtedy rozumie się, gdy i dziewczynka starsza, można zaprowadzić regularny tryb zabawy i taż sama lalka wprzódy bezużyteczna, bo krótko zajmująca zabawka, nabiera istotnego warunku dziecinnego cacka. Ma pewną użyteczność życiową, a dziecka zabawy jak mówi Pestallozi, muszą być zawsze obrazem życia. W takim wypadku dziewczynka rozbiera i ubiera swą lalkę, myje ją (rodzice kupujący lalki swym córkom winni baczyć aby maseczki takowych były z porcelany, a nigdy nie z gipsu, w tym bowiem ostatnim razie, farby do pomalowania kolorów i włosów użyte, są szkodliwą trucizną, a dzieci mianowicie małe, mają zwyczaj gdy nie są strzeżone, kłaść je do ust) czesze, kładzie w łóżeczko, ubiera i t.d., jednem słowem ma zajęcie, które tylko wskazać trzeba, umieć dopilnować aby się odbywało systematycznie, aby zabawiło dziecko na długo i swój życiowy, wpływowy skutek odniosło. Zwrócimy także uwagę iż kupowanie strojnych lalek w koronki, bengale, tarlatany, chybia celu, raz że uczy błyskotki, a powtóre, że takie cacka są niemocne. Lalka zbudowana mocno, mająca obfitą, prostą, prać dającą się garderobę, dla dziewczynek od 5 do 10 lat dobra to zabawka, ale nie jedyna i niewyłączna.

Idźmy teraz do chłopców. Tym kupują biczyk, bębenek i szabelkę. Cóż chcecie aby on robił ze swoim biczykiem? To darmo, batem bić tylko można. Więc dziecko macha nim na wszystkie strony bije wszystkich i wszystko. A co się bić nie daje batem, drapie pazurkami, kąsa i tak powoli wyrabia w sobie ten nieszczęsny instynkt drapieżności i zniszczenia. Szabelka pewno nie staje w sprzeczności z batem, a bęben miłą jest trójką w tem towarzystwie. Kto zna dzieci, wie iż z narzędzi muzykalnych podobają się im te, które najgłośniej krzyczą. Rzecz to naturalna, młode bowiem zmysły są tępe do pewnego stopnia i potrzeba silnego podrażnienia, aby ich uwagę zwrócić. Dla tego też nad dźwięki słodkie fortepianu przenoszą huczenie bębna nad inne kolory, czerwony. Największy krzyk jest często dla dzieci najlepszą zabawą.



pierwsi w ojczyste weszli progi. (str. 325).

Lecz czy idzie zatem aby te właściwości zmysłów dziecięcych w taki jak obecnie, a nie inny racjonalny sposób zużywać? Czyby zamiast bębnienia i kakofonji dźwięków nie naprowadzić równie potężnym dźwiękiem śpiewu lub harmoniki to upodobanie dzieci do drażnienia słuchu? Lecz o tej zabawie na którą niemieccy pedagodzy zwrócili już uwagę, ujmując takową w pewne racjonalne, karby pomówiemy później, teraz bowiem chcemy tylko wykazać o ile system dzisiejszych zabawek dziecinnych, przyczynia się do uczynienia dzieci nieznośnemi, a dom czyni piekłem hałaśliwem. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę głębsze skutki moralne, jakie podobny wpływ na charakter i usposobienie dziecka wywiera, to z przerażeniem ujrzemy, jak w tych właśnie, jak nam się zdaje, niewinnych zabawkach, leżą zarody wielu wad i ułomności, które trapią później dojrzałego człowieka w społeczeństwie. Kiedy już biczyk i trąbka nie wystarczają dziecku, lub też kiedy znużeni ciągłemi krzykami domownicy, odbiorą małemu swawolnikowi te narzędzia hałaśliwe, do rąk dziecka dostają się inne zabawki, spokojniejszej nieco

natury, ale czy rozsądniejsze, wątpić trzeba. Składają się one zwykle z różnego rodzaju tekturowych lub metalowych żołnierzy, z domków klejonych, teatrzyków i t. p. przedmiotów. Obecnie fabrykanci zabawek naśladują rozmaite zwierzęta, robią figurki z massy papierowej. Niektórzy nawet idą dalej i nie spostrzegając swej nietrafności fabrykują karykatury, rozmaite dziwolągi o ptasich głowach, straszydła i karykatury ludzkie już to pękate, już długie, szpetne postacie. Czy to wszystko ma się przyczyniać do rozwinięcia estetycznego gustu w dzieciach? Sami widzieliśmy jak takie głowy monstrualne a skrzeczące za naciśnięciem sprężyny lub mieszka, wprawiały dzieci w przestrach lub obrzydzenie. Jeżeli jednak wejdziemy do sklepu zabawek, tego rodzaju przedmiotów znajdziemy ogromną większość, a nowożytna mechanika nie tracąca żadnego przemysłu z uwagi, nie zaniedbała poczynić i tu swych zastosowań, obdarzając te potwory samoruchem po nakręceniu sprężyny. Że te cacka zadziwiają i cieszą dzieci trudno zaprzeczyć, ale cóż, znowu się tu powtarza taż sama historja co i przy lalce strojnej. Radość wybucha z entuzjazmem w pierwszej chwili, a potém następuje oswojenie się z przedmiotem i znudzenie. Dziecko nie wie co ma z temi tekturowemi żołnierzami, co z temi ruszającemi się myszami robić. Nie wyrażają mu żadnego zrozumiałego pojęcia i nie mają dla niego żadnego zastosowania. Nacieszywszy się więc chwilę, dziecko z jakąś ukrytą radością urywa łby swym żołnierzom, wyciąga włosy z ogona swemu konikowi, rozbija wózki, słowem niszczy. To niszczenie ułatwia niezmierna wątłość zabawek, które przychodząc z zagranicy, a mianowicie z Prus, nietylko że przedstawiają obce nam typy, ale są wyrabiane na optykę i łatwo ulegają zepsuciu i tem samem niezmiernie drogo kosztują. W tym zapędzie niszczenia zabawek nieumiejętnie użytych, dzieci nietylko że nie są powstrzymywane przez niańki i bony lub nawet matki, ale zachęcane, te bowiem nieumiejętne przewodniczki widząc że urwanie łba żołnierzowi, lub pozbawienie grzywy konika wywołuje żywą radość dniecka, swobodnie puszczają się na to pole łatwego bawienia i zadawalania złych instynktów powierzonego im pupila. Ileż to razy zdarzyło nam się widzieć, iż bony uszykowawszy z dziećmi tekturowych żołnierzy, lub postawiwszy dom z kwadracików albo z kart, jednym zamachem zwalają z nóg wojska, a z fundamentów domy i to wśród uciesznej wrzawy dzieci. A zaiste, czyż celem zabawy ma być rozwijanie instynktu niszczenia? Dobrze pojęta pedagogja zabrania tego najsurowiej, słusznie utrzymując, iż co najwcześniej posiejemy na dziewiczym gruncie umysłu i serca dziecięcia, to w najpóźniejszych latach człowieka zbierzemy najobficiej.

Z tego więc cośmy dotychczas o zabawkach powiedzieli, pokazuje się: 1o. że używane obecnie nie są stosowne do natury dziecięcia bo je nudzą, a dziecko znudzone musi być swawolnem nad miarę, krzykliwem i prawdziwą plagą rodziny; 2o. że wyrabiają złe instynkta niesforności, nieporządku, bicia, niszczenia; 3o. że zabawki te są często nieestetyczne; 4o. że drogo kosztują; 5o. że niczem nie przysposabiają dziecka i nie rozwijają jego władz ani fizycznych ani moralnych.

Wyrzekłszy, w imię zdrowo pojętej pedagogji, słowo potępienia dla obecnie używanych zabawek, trzeba nam teraz wskazać po szczególe, jakie zabawki i cacka służyć winny dzieciom, aby wprost przeciwne skutki osiągnąć. Przyszły nasz artykuł temu poświęcony będzie.

A. Wiślicki.

W BAWARJI.

Wróciwszy do miasta zaczęłam oglądanie go od rezydencji królewskiej. Zapewne traci się więcéj czasu na wyszukiwaniu samemu przedmiotów, które widzieć pragniemy, ale też łatwiej się obeznać z miejscowością, niż kiedy najęty przewodnik prowadzi nas wszędzie niemal za rękę. Idąc tedy prosto z mego hotelu, wyszłam na plac Maksymiljana Józefa. Po prawej ręce zajmuje mnie długi budynek w rodzaju herkulańskich, z jasnemi malowaniami na tle ciemno czerwonem, już gotowam myśleć, że to jakie muzeum, lecz objaśniają mnie że to poczta. Zwracam się tedy ku gmachowi, którego główne wejście kolumnami zdobne, miałam tuż przed oczami. Był to teatr, a wyznać należy, że w całych Niemczech trudno znaleść gustowniejszego. Wziąwszy się na lewo ujrzałam wspaniały o dwóch wieżach kościół, objaśniono mnie, że to kościół Teatynów, a po prawej stronie jakiś budynek elegancki zdobny kolumnami we włoskim stylu, to tak zwana galerja generałów (Feldherenhalle), gdzie między innemi jest posąg Tillego. Warta stojąca przed pałacem, liczni wojskowi w paradnych mundurach, wszystko dało mi poznać że zbliżam się do królewskiej rezydencji. Dzielą ją zaś na starą, nową i galową czy też reprezentacyjną (Festsaalbau). Są

to gmachy olbrzymie, a przepych ich ozdób bardziej wewnątrz niż zewnątrz widoczny. Cztery podwórca rozdzielają rozległe zabudowania starej rezydencji. Obejmuje w sobie skarbiec, kolekcję starożytności i tak zwaną *bogatą kaplicę* (Reiche Kapelle), klejnot wypieszczony, gdzie wszystko, od posadzki sadzonej ametystami, do stropu złoconego, drogie i kunsztowne. Przeszedłszy koło fontanny dość nie smakownie nasadzonej muszlami, zwanej *Muschelberg* dostałam się do dalszych gmachów. Nowa rezydencja zbudowana jest na wzór florenckiego pałacu Pitti, którego wizerunek był w naszem piśmie. Dolne jej sale ozdobione freskami przez Schnorra, przedstawiającemi sceny z Niebelungów i z Odysei Homera, pół nocna zaś część budynku jest ową częścią galową, najbardziej przez ciekawych zwiedzaną. Rzeczywiście, nawet w wielkich stolicach trudno widzieć większy przepych. Wspaniałemi wschodami, wspartemi na sześciu kolumnach, każda z jednolitej sztuki marmuru, dochodzi się do przedpokoju przeznaczonego dla służby; dalej następuje sala przyjęć, biała z płaskorzeźbami Szwantalera; sala pompejańska, gdzie zwykle królowa przyjmuje, nareszcie ogromna sala balowa. Po niej dwa gabinety portretów piękności, malowane przez Stülera, których nazwiska oprowadzający wymienia; pomiędzy niemi figuruje nazwisko polskie pani Kwileckiej z domu niemki. Następują sale z ogromnemi obrazami przedstawiającemi bitwy Napoleońskie, a po drugiej stronie sali balowej oglądać można salę Karola Wielkiego, Fryderyka Barbarossy, Habsburgów, z obrazem na którym znana legenda o Rudolfie Habsburgu, odstępującemu swego konia księdzu, mającemu przebyć strumień, niosąc najświętszą Eucharystję; wszystko malowane pędzlem mistrzów niemieckich. Sala tronowa budzi zdumienie; długa, na kolumnach wsparta, wprost wejścia przedstawia tron pąsowo kryty; po obu jego bokach brązowe złocone posągi naturalnej wielkości, wyobrażające przodków domu bawarskiego, między których, jako książe Dwóch mostów, liczy się Karol XII. Posągi te mające na sobie złocenia, każdy za 800 dukatów, ulane są z armat zdobytych na turkach pod Nawarynem, a zakupionych przez poprzedniego króla, Ludwika. Co mają przodkowie królów bawarskich wspólnego z tym turków pogromem, przez co łączą się te dwie chwały, — odgadnąć trudno. Jest to zawsze wspaniałe dzieło próżności.

Drugiem, mniej okazałem wejściem, wchodzi się do Herkulesowej sali, gdzie zwykle czekają zwiedzający, na mającego ich oprowadzać przewodnika. Następuje sala przyjęcia, z obrazami Tyciana, gabinet ubieralny wyłożony lustrami i chińską porcelaną, z żyrandolem wyrobionym przez kurfirsta Maksymiljana, pokój sypialny z paradnem łożem, na którém ostatni spoczywał Napoleon I, okrycie na łożu aksamitne, haftowane złotem, kosztowało kurfirsta Ferdynanda Marję 800,000 florenów, słowem możnaby mieć jaką pożyteczną instytucję za tę kołdrę; gabinet do pracy jest zdobny w miniatury kopiowane z arcydzieł mistrzów; pełno w nim luster i przepyszny, rzeźbiony w Norymberdze żyrandol z kości słoniowej, słowem pięknie tu wszędzie i po pańsku. Okna tych pokoi wychodzą na tak zwany ogród dworski, niczem wprawdzie się nie odznaczający, chyba tem, że ma po jednej stronie mur z arkadami, pokryty freskami z historji Niemiec. Te arkady są miejscem przechadzki w dnie mniej pogodne, lecz prawdziwej rozrywki może dostarczyć ogród będący za *Hofgarten*, zwany angielskim (Englischer Garten). Na tej obszernej przestrzeni przerzniętej dwoma odnogami rzeki Izar, mieszczą się różne zakłady mające przyjemność lub pożytek na celu. Kąpiele Brunenthal gdzie się leczą zimną wodą, fabryka machin, pełno osobnych zamkniętych w sobie ogródków i najokazalsza, a przynajmniej najwyższa z tego wszystkiego, *chińska wieża*. Losy mnie tam zagnały właśnie w sobotę, kiedy grała muzyka. Budynek ten przypomina rysunki wież pekińskich, w około roiło się mnóstwo ludzi różnych stanów i więcéj jadło i rozmawiało, niż słuchało owej muzyki. Piwo, mleko, chleb wiejski, ser szwajcarski, znikały szybko z talerzy, na których się pojawiały; a goście nadciągali coraz to inni pieszo i pojazdami, które się uszykowały w sporą gromadkę. Można było wnosić, że w nich przybył świat piękny Monachium, lecz wyróżnić go w tłumie, niepodobieństwo! w Paryżu daleko to łatwiej przychodzi. W kraju gdzie tyle prawiono o równości, ulubieńcy fortuny mają pewne minki lekceważące dla tych, którzy chodzą piechotą. Zdarzyło mi się zauważyć je często, w czasie mego przeszło półrocznego w stolicy Francji pobytu. I tak np. w operze włoskiej, tym najdroższym z teatrów, w którym bilet do krzeseł jeszcze coś około sześciu lub siedmiu rubli wyniesie, są osobne schody dla lóż pierwszego piętra. Do nich przybywają bogate damy, strojne jak na największe bale. Tam lśnią perły i brylanty, tam kwiaty co usiłowały być piękniejszemi od natury, rozpinają się na arcydziełach fryzjerskiej sztuki. Takie panie zarzucają zwykle na ramiona tylko aksamitne lub kaszmirowe burnusy, które są aż nadto ciepłe do ich zamkniętych karet. Kiedy więc raz, skutkiem niebacznego otworzenia jakiejś komunikacji, świat inny z galerji i amfiteatrów, gdzie wszakże jeszcze płacą się miejsca po kilkanaście złotych, na te schody się wyroił, odróżniał się wybitnie, szczególniej w swej żeńskiej połowie. Te bowiem kobiety na których karety nie czekały, miały kapelusze i ciepłe ciemne okrycia wyglądały więc trochę na pokojówki tych księżen, markiz i baronowych (z finansów), które obnażone ramiona, zaledwie przetykaną złotem gazą pookrywały. Wyznaję, żem się w tę koterję strojną, dla której przepych jest chlebem powszednim,

wpatrywała, całemi oczyma, przypominała mi bowiem wszystkie niegdyś czytane opowieści Balzaka lub innych. Co tam było aksamitu, brylantów, koronek, co woni, na które się wszystkie kwiaty złożyły! wdzięk wielki w poruszeniach, prześlicznie obute nóżki ukazujące się z pod powłóczystych jedwabiów, tylko twarzom wyżółkłym życiem konwencjonalnem i późnem w noc czuwaniem, musiała sztuka nadać białość matową i koloryt stosowny, nie było bowiem śladu tych rumieńców, jakiemi młodość i zdrowie na pogodném obliczu wykwita, blask zaś oczu, ogień fałszywych przypominał brylantów. Gdy tak patrząc zamykam szereg rozmyślań moich tą, zdawkowej filozofji, uwagą, że nie wszystko piękne co się świeci, mierzą mnie oczyma z góry, te pańskie postacie o które się ocieram i jakiś pieszczony głosik, z pewną cierpkością odzywa się koło mnie: „Co to jest? galerje schodzą razem z nami. Widzę, że policja nie pełni dziś swej powinności.“ Jednak policja pozostała dość obojętna na to zbratanie się aksamitu z grubą syberyną i zeszliśmy zwolna pospołu, dopóki od drzwi opery, różnica położenia towarzyskiego, nie pchnęła każdego w inną stronę.

Zrobiwszy tę małą w kraj inny wycieczkę, nie chcę bynajmniej dowodzić, że w Niemczech nie ma pychy lub próżności, lecz że tego w życiu na zewnątrz dopatrzeć trudniej.

Słusznie ktoś nazwał Monachium Berlinem Niemiec południowych; taka sama tu dbałość o nabywanie zabytków starożytności, o wiązanie życia dzisiejszego z przeszłością, tak wszystko świeże, oczyszczone, świecące, zda się postawione od wczoraj. Ciągle mi tu Kraków na myśl przychodził, bo trudno o większe przeciwieństwo. Tam piętno postępu wieków, wyryte na kościołach i murach klasztornych, na obrazach, rzeźbie, na rogach ulic nawet. To już pochyliło się od długiego trwania i sięga pierwszych czasów chrześciaństwa, temu pięć wieków niezliczonemi szczerbami na powierzchni się pisze, to znów już poczerniałe, ale jeszcze nienaruszone, stoi w całéj piękności swej i prostocie; słowem to otwarta księga do czytania w niej, stopniowego rozwinięcia się społeczeństwa. Nowsze zaś stolice, pieszczochy panujących, są jak wielka dama, w której nic podszarzanego nie ma w garderobie. Pomniki, kolumny, tryumfalne bramy, gmachy muzeów w Monachium, wyglądają jak by przedmioty sztuki, dopiero co rozpakowane i wystawione ku powszechnemu uwielbieniu. Warte to przecież widzenia i podziwu, na te dzieła bowiem składały się najznakomitsze talenta nowoczesne, a summy płaciły się ogromne. Plac Maksymiliana Józefa nosi nazwę od pomnika tego monarchy, król Ludwik figuruje cały złocisty na koniu wśród ulicy tegoż imienia, wizerunki cesarzów z domu bawarskiego wszędzie się spotyka i 30 tysięcy bawarczyków, którzy służąc francuzkiej sprawie polegli, mają téż swój pomnik na placu Karoliny. Tuż obok jest Glyptoteka, muzeum rzeźb mniej liczny wszakże od berlińskiego. Naprzeciw stoi wielki także budynek, przeznaczony na wystawę płodów sztuki. Pomiędzy temi gmachami biegną lekkie kolumny greckiego stylu, coś niby brama z dwoma wieżami. Wdrugim zaś punkcie miasta, są obie sławne pinakoteki, dawniejsza i nowa. Pierwsza mieści ową sławną galerję obrazów, którą zna co najmniej ze sztychów świat cały, rozpisywać się więc o niej byłoby zbytecznem. Wszystko pielęgnowane z miłością i znajomością rzeczy. Przedpokój prowadzący do galerji, długi jak korytarz klasztorny, zwie się *salą założycieli* i mieści w sobie portrety wszystkich książąt, którzy się przyczynili do powiększenia tego szacownego zbioru.

Tuż za dawną pinakoteką, wstronie jej północnej, jest pinakoteka nowa, przeznaczona na dzieła malarzy XIX wieku. Pierwszą zdobi 25 posągów dłuta Szwantalera, wyobrażających najsławniejszych malarzy, na téj zaś pędzel Kaulbacha freskiem, na wyższej części ścian zewnętrznych, przedstawił trudy zeszłego króla, Ludwika, jakie w Rzymie i Monachium dla sztuki podejmował. Wszędzie zachęca artystów, nabywa arcydzieła i w tym celu ogromne wydaje pieniądze, co rzeczywiście warte uznania, ale mi jakoś żal się na to zrobiło śmiałego rysunku Kaulbacha, który już po trochu deszcze zmywają. We wspaniałej sieni gmachu tego, obejrzeć można model posągu *Bawarji* i również olbrzymiego wozu z rzymska tryumfalnego, ciągnionego przez lwów, który wiezie *Bawarję* ma się rozumieć zwycięzką, kiedy brama na wierzchu której go postawiono, nosi zwycięzkiej miano, słowem duma narodowa znajduje tu pole rozsiąść się szeroko, gdyż krajowcy mają ciągle przed oczyma swoją Bawarję w apoteozie.

(*D. n.*).

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

Dalszy ciąg.

Pan referendarz był to mały człowieczek, órego fizjognomja zdradzała pochodzenie żydowskie. Głowa jego wyglądała zaledwie z długiego tabaczkowego surduta, z wysokim

kołnierzem. Jedyne jego uzbrojenie stanowiła fajka na trzy stopy długa, z której ulatujący dym, nietylko jego samego, ale i inne przedmioty otaczał mgłą tajemniczą. Dozorca położył przed nim spis nazwisk dodając: wypisani tu obżałowani proszą o posłuchanie. Dikhamel znowu....

— Co znowu zrobił Dikhamel? zasyczał referendarz, a twarz jego blada, okryła się barwą wiśniową.

— Połamał swój tapczan w kawałki dla tego, żem go nie chciał meldować. Referendarz aż się zerwał z siedzenia. „Boże sprawiedliwy! zawołał, czyż się nigdy nie pozbędę tego strasznego człowieka; już od czasu uwięzienia dopuszcza się trzydziestego siódmego gwałtu. I rozmyślając zapewne o nieskończonem przedłużeniu procesu, jakie każdy gwałt podobny za sobą pociągał, westchnął biedny człowiek nad swojem udręczeniem.

— Cóż tedy mam zrobić z Dikhamelem i z połamanym tapczanem? zapytał ze stoickim spokojem dozorca.

— Każ otaksować szkodę przez biegłego i przynieś mi to na piśmie. Przyprowadź także Dikhamela. — Wkrótce i pismo i złodziej stawili się w biurze.

— Cóżeś tam znowu zbroił? pytał referendarz Dikhamela, który wchodził z dobrą miną, z rękami w kieszeniach i lekkim i wesołym ukłonem powitał go, stawiając swą osobą najwyższą sprzeczność, ze zbyt wyraźném pognębieniem urzędnika.

— Szanowny panie referendarzu, chciałem się dowiedzieć, jak też tam sprawa moja stoi? Kto siedzi trzy lata, może czasami się zniecierpliwić.

— Jest że to sposób meldowania się? zapytał referendarz, którego niechęć wzrosła jeszcze, na widok lekceważącéj postawy więźnia. O co ty masz się pytać? przyznaj się, a wszystko będzie skończone.

— Jeżeli ja mam do czego się przyznać, to chyba pan będziesz mi podszeptywał, lub pisarzowi dyktował, bo ja nic nie mam takiego, do czegobym się mógł przyznawać.

— Będziesz tedy siedział tak długo, dopóki ci się co nie przypomni. Zapowiadam ci, że ci nie pozwolę tu przychodzić na próżne gadania, które mi tylko czas drogi zabierają.

— Możesz pan robić jak się panu podoba, ale ja będą się meldował co wtorek i co piątek, a gdy mnie nie powołają, będę powtarzał mą prośbę, z takim jak dziś naciskiem.

— A ja cię wsadzę do samotnej ciupy, krzyknął referendarz w największym gniewie. Wkrótce się jednak uspokoił i dodał łagodnie: słuchaj Dikhammelu, gdybyś nie był taki, doznałbyś niejednego ulżenia.

— Umiem cenić pańską dobroć, panie referendarzu, odparł złodziej, odzież którą na sobie noszę, jest owocem tych dobrodziejstw; jakkolwiek surdut jest już w bardzo złym stanie.....

— Dostaniesz drugi, ale proszę cię, siedźże spokojnie. Widzisz jak ja się z tobą obchodzę, twoje śledztwo byłoby od roku już skończone, gdybyś był sam, ale nie mogę go zamknąć, dopóki sprawy tamtych nie wyprowadzę na jaw. Czekaj więc cierpliwie.... ale słuchaj, masz ty pieniądze na tabakę?

— Zkądże bym je miał wziąść? odpowiedział szyderczo złodziej.

— Przed tygodniem dostałeś przecie dwa złote.

— Już je dawno djabeł wziął, odparł znowu zapytany.

— No dobrze, dostaniesz jeszcze dwuzłotówkę.... widzisz jak ja dbam o ciebie, nie mam przecież żadnej złości osobistej, pominę nawet twoje dzisiejsze nadużycie i własnym kosztem tapczan naprawić każę. Patrz oto, rzecz tę osądzili biegli na siedm guldenów szkody.

— Siedm guldenów! wykrzyknął złodziej, ja już sam ze trzynaście razy go złamałem i zawsze tylko sklejany bywa. Dziś go jeszcze zlepię tak, że będzie wyglądał jak nowy.

Stukanie do drzwi przerwało tę rozmowę.

— Sprawiedliwy Boże! znowu nam przeszkadzają.

— Ach! to jest mój siostrzeniec, odezwał się więzień do wchodzącego, który już koło drzwi mrugnął na niego, pełnem porozumienia spojrzeniem.

— Siostrzeniec? powtórzył referendarz, to może przynosisz pieniędzy cokolwiek dla twego krewnego; daj je tu, a ja porachuję i wpiszę.

— Przyniosłem wprawdzie, ale tak mało że niema co wpisywać i wyłożył na stół kilka sztuk miedziaków, a podczas gdy je referendarz obliczał do wysokości 7 i pół gr., on ściskał Dikhammela i wśród tych tkliwych pieszczot potrafił mu szepnąć: Tomasz z naszej wsi przedał całe gospodarstwo i ma u siebie gotówkę, ty wiesz, że jego dom stoi na uboczu, możnaby zrobić doskonały interes. Lękam się tylko, że te pieniądze długo u niego leżyć nie będą, chce on kupić drugie gospodarstwo, ale bez ciebie nic czynić nie potrafim.

Referendarz ogłosił wypadek z dodania przyniesionej summy i udzielił pozwolenie na rozmowę.

— Sprobuję ja zemknąć, odpowiedział Dikhammel, a na twarzy siostrzeńca zajaśniał uśmiech, że potrafił w obec sędziego, zjednać zamierzonej wyprawie tak niezbędnego pomocnika. I znów przy pożegnalnym uścisku przyrzekli sobie gdzie się zejść mają po dokonanej ucieczce Dikhammela. Referendarz miał

właśnie zadzwonić na wyprowadzenie więźnia, kiedy wejście trzeciej osoby wywarło na przytomnych pełne uszanowania wrażenie. Opadła ręka referendarza już wyciągnięta do dzwonka i zsunęła się z głowy czapeczka, która tylko przed jednym człowiekiem w Bolcen się uchylała. Wchodzący okazał się przeciw swemu zwyczajowi zarówno przyjacielsko usposobiony dla podwładnego urzędnika, jako i dla więźnia, na którego pokorny ukłon łaskawie odpowiedzić raczył.

— Jest w tém coś, pomyślał sobie Dikhammel i swój wzrok wytężył śledząc każde poruszenie wysokiego gościa. Nie uszło też jego baczności, jak tenże, przedstawiciel najwyższego sądu, zwany pospolicie syndykiem, przysunąwszy usta jak najbliżej ucha referendarza, szepnął mu kilka słówek poufnych, z tych jedno *komisja*, które usłyszał Dikhammel, objaśniło mu rzecz całą. I widocznie uradowany zacierał sobie ręce, podczas gdy dozorca odprowadzał go do więzienia; połączywszy się z towarzyszami, wziął na bok Ksawerego i rzekł:

— Zrobiłem ważne odkrycie, które nam obydwom może do uwolnienia posłużyć.

— Mówże! wołał Ksawery zaciekawiony.

— Sędziowie nasi spodziewają się komisji, szepnął łotr z większą jeszcze tajemnicą, niż syndyk gdy tej wiadomości udzielał koledze.

— Cóż za wpływ miała by mieć komisja na nasz los? zapytał dobrodusznie Ksawery.

— Skoro tylko gębę otworzysz, zaraz widać żeś nowicjusz. Komisja taka przysłana od władzy najwyższej, do kontrolowania sądów niższych, jest najważniejszym wypadkiem w życiu uwięzionego. Sam się wkrótce o tém przekonasz. Przez cały ciąg oczekiwania takiej komisji, lub pobytu jej na miejscu, powaga więźniów idzie w górę. Dosyć nam będzie powiedzieć: że chcemy tego lub nie chcemy, a wszystko wypełnionem zostanie. Jeżeliś siedział przez cały czas w obdartéj i brudnej bieliznie, teraz otoczy cię elegancja i zbytek, jakiegoś się nigdy nie spodziewał. Dostaniesz nową koszulę, nowy kaftan, nowe pantofle. Jeżeliś dotąd zaledwie mógł jeść chleb gorzki i codzień karmiony bywałeś marchwią, to pewnie w czasie pobytu komisji na jedzenie się skarżyć nie będziesz. Będzie ono pożywne i smaczne, sam syndyk będzie przychodził je kosztować i poczęstuje cię tabaką z własnej tabakierki. Już ja sam doświadczałem takiego honoru, mieliśmy wtedy śliczną komisją, która aż cały tydzień gościła.

— Ależ na co przydać im się mogą takie ulepszenia i poprawy? pytał Ksawery.

— Na co? powtórzył złodziej.... przypuść, że na raz panowie z komisji przychodzą do naszego oddziału aby się ciebie zapytać, czy nie masz się na co skarżyć? cóż możesz im powiedzieć? że masz złą bieliznę, podarte ubranie, jakże, kiedy dosyć na ciebie spojrzeć, aby się przekonać że to kłamstwo. Będziesz że się skarżył na jedzenie? to cię zejdą podczas obiadu i przekonają się, że masz wcale porządny kawałek mięsa i jeszcze jaką potrawę do tego, znów tedy na łgarza wyglądasz. Przez cały bowiem czas trwania komisji, będą się z tobą obchodzić najtroskliwiej, z najtkliwszą pieczą jakbyś był najdroższym dziecięciem w domu.

— Tego wszystkiego nie widzę jeszcze, w jaki sposób przybycie komisji ma nam dopomódz do uwolnienia.

— No spuść się na mnie, nie potrzebujesz nic robić, tylko baczyć na każde moje skinienie. Spodziewam się, że nie będzie ci wstrętnie ztąd się wyśliznąć. Ksawery nie mógł się tego zapierać, ciekawy też był zbadać życie więźniów, nawet w ich usiłowaniach ucieczki Podczas tej rozmowy, nadeszła pora obiadowa i dozorca przyniósł jedzenie. Dikhammel skosztował, a potem cisnął łyżkę drewnianą i krzyknął: czyż to jest jedzenie, które się ludziom daje? niech ten znosi kto ma cierpliwość, bo ja już nie wytrzymam.

Można się łatwo domyśleć, że w innych razach dozorca niewieleby zwracał uwagi na te gastronomiczne zachcianki więźnia i byłby go zachęcał, żeby jadł lub żeby zostawił; że jednak tego nie uczynił, ale owszem z największą przychylnością uspokajał go, można było odgadnąć, że i do jego podrzędnej osoby doszła wiadomość o mającej zjechać komisji.

— Wciąż powtarzać będę, że tego klajstru jeść nie można, utrzymywał Dikhammel, pomimo ułagadzających przedstawień; wymagam, aby pan syndyk razem z panem referendarzem tu przyszli i przekonali się, że żaden ludzki żołądek podobnej strawy znieść nie może. Jeżeli oni skosztują, to ja już bez narzekania zjem wszystko.

— To już dzisiaj poprzestań na tem, jutro uczyniemy ci zadość.

— Tak— uraczycie mnie znowu takim samym przypalonym klajstrem, znam ja to. Ale już mi dzisiaj tak łatwo gęby nie zamkniecie jak wtedy, kiedym mysz z zupy wyciągnął. Syndyk i referendarz muszą tu zejść, inaczej zrobię takie piekło, że wszystko potłukę i pobiję. I więzień spojrzał po umeblowaniu więziennem na bardzo niepewnych stojącem nogach, tak, że dozorca przypomniawszy sobie ranną scenę, uznał za dobre, wysunąć się za drzwi i wyższej władzy zameldować, o żądaniu więźnia i jego wstręcie do podanej strawy.

— Ciekawy jestem czy też referendarz i syndyk uczynią zadość twoim zaprosinom? rzekł Ksawery głosem wątpiącym.

— Zobaczemy, odparł Dikhammel, z nie-

zachwianą wiarą w siebie. Przekonany jestem, że gdybym teraz chciał wszystkich urzędników zawezwać, toby te ściany nie objęły przychodzących, tak teraz stojemy górą i trzeba być głupim, żeby z dobrej sposobności nie skorzystać. Mnie jednak nikogo więcej nie potrzeba tylko syndyka i referendarza.

Zaledwie to wymówił, a już się jego słowa sprawdziły, ukazaniem się zawezwanych osób.

— Cóż tam znowu chcesz Dikhammelu? pytał syndyk z największą słodyczą, na jaką się tylko mógł zdobyć głos jego, do rozkazywania nawykły.

— Co ja chcę? odparł zapytany, wsuwając obie ręce do kieszeni, z miną zupełnie winnemu uszanowaniu przeciwną. Nic innego. tylko tego, co mi się należy: porządnego jedzenia

— Nie możesz jednej godziny pozostać w spokojności, dorzucił referendarz, albowiem wezwanie więźnia przerwało mu chwilę, kiedy miał zasiąść do obiadu.

Dikhammel popychając przed sobą Ksawerego, zajął niby od niechcenia taką pozycję, że stanął pomiędzy urzędnikami a dozorcą, który z pękiem kluczy w ręku, pokornie drzwi pilnował. Dikhammel miał widać jakieś cele tajemne, do zajęcia takiej pozycji. Tymczasem zaprosił panów urzędników do skosztowania jedzenia, aby się sami przekonali że go użyć nie można. Jednakże ani jeden, ani drugi nie spieszyli tego uczynić, syndyk zaś się odezwał: wydałem najsurowsze rozkazy, ażeby was już więcej marchwią nie karmiono, żeby wam dano coś pożywniejszego. Jutro przekonacie się, że słucham chętnie słusznych wymagań.

— Jutro, powtórzył więzień, jutro, zawsze nas karmią tem jutrem, a cóż dziś jeść będziemy? Syndyk włożył rękę do kieszeni i wyciągając z niej kilka sztuk monety, podał Dikhammelowi mówiąc: masz tu dla siebie i dla twoich towarzyszy, jutro już będziecie zupełnie kontenci. Dikhammel biorąc podarunek i chowając go, śledził ciągle poruszenia syndyka i kiedy ten do drugich więźniów się odwrócił, aby im także co przyjaznego powiedzieć, on przystąpił do uskutecznienia swoich zamiarów. Jednym rzutem wyrwał klucze z rąk dozorcy, schwycił go za kołnierz, popchnął silnie w głąb więzienia, drugiém uderzeniem wyrzucił Ksawerego za drzwi, które teraz pozostały otwarte, sam też na korytarz wyskoczył i nim się panowie mogli domyśléć, co z tego wyniknie i przeszkodzić mu chcieli, on ich zamknął w więzieniu.

— Tak tedy są zamknięci, zawołał z tryumfem Dikhammel, a my możemy robić z niemi co nam się podoba. Ksawery, który z jednej strony przeraził się spółką z takim łotrem, która go mogła o niebezpieczeństwo przyprawić, z drugiej strony miał dosyć awanturniczy umysł, aby sobie w tem podobać, rzekł jednak do towarzysza: udało nam się umknąć z ciupy ale jak wyjdziemy z domu? nasz ubiór aresztancki....

— Byłoby teraz zapóźno mówić o tem, gdybym był nie przewidział, rzekł Dikhammel, otwierając okienko umieszczone we drzwiach celi, na to aby w każdej chwili, nie otwierając drzwi, można było zajrzeć do jej wnętrza.

— Darujcie szanowni panowie, odezwał się, że was tu zamknąłem, ale pierwsza miłość od siebie. Tęskno mi już za świeżem powietrzem, a wy byście mnie po dobremu nieprędko ztąd puścili, zdecydowałem się tedy sam sobie zrobić urlop, co powinno wam być przyjemnem, albowiem przez kilka tygodni nie będziecie się o mnie troszczyli. Musicie mi tylko zrobić tę grzeczność, żebyście mi ułatwili wyjście z domu, a rozejdziemy się najlepszemi przyjaciołmi.

— Nie wiem co myślicie przez ten niedorzeczny krok osiągnąć, odezwał się głos syndyka ze środka, zdradzający wzruszenie. skoro tylko próg przestąpicie schwytają was i całemi miesiącami przewleczecie indagację; będzie bowiem ciężyć na was usiłowanie ucieczki, więc wam po przyjacielsku radzę, nie brnijcie dalej, a ja jeszcze zamknę oczy na to coście zrobili.

— Bardzo to jest wspaniale z pańskiej strony, odgadnął łotr, ale mnie się zanadto chce przechadzki, abym nie miał jej sprobować; mój towarzysz jest tego samego usposobienia, jeżeli nas potem złapiecie możecie nas karać; parę tygodni mniej lub więcéj nic nie znaczy. Jak ztąd wyjść, to już nasza rzecz, tylko musicie nam panowie trochę dopomódz.

— Dikhammelu, odezwał się znowu głos referendarza, przestrzegam cię, źle robis z pamiętasz że ja się zawsze z tobą dobrze obchodziłem.

— Teraz możesz mi pan dać najlepszy dowód swej łaski. szanowny panie referendarzu. W naszych szarych spencerach niepodobna nam się ztąd wymknąć, bądź że pan tak dobry, pożycz mi swego surduta i kapelusza; wprawdzie mój przyjaciel jest znacznie wyższy od pana, ale w takim wypądku jak my jesteśmy, nie można się bardzo troszczyć, czy suknie dobrze leżą; wstaw się także za mną do pana syndyka, aby mnie pozwolił swego surduta i kapelusza. On ma podobną do mojej figurę i przy Bożej pomocy, może się wymkniemy, zobaczywszy bowiem tak znaną odzież, nikt nie będzie nas śmiał zatrzymać; a odeszlemy ją wam przy pierwszej sposobności.

— Dikhammelu, Dikhammelu, brzmiał wciąż ze środka głos przestrzegający, który przy wspomnieniu obiadu, jaki na czcigodnych urzędników czekał, wpadał w ton tkliwy rozrzewniający: w coś ty popadł Dikhammelu? twoje śledztwo tak dobrze stało, jeszcze pięć lub sześć przesłuchań, a byłbyś pewno uwolniony; a teraz zginiesz.

— Nie troszcz się już pan o mnie, panie referendarzu, tylko mi pożycz sukien, żebym mógł troszkę po polu pobujać. Tylko się pan spiesz bo później będzie źle z nami, teraz jest pora obiadowa i wszyscy stróże siedzą przy obiedzie, najłatwiej więc umkniemy; nie zatrzymujcie nas dłużej.

Silne wstrząśnienie drzwi z zewnątrz, które zamknięty dozorca usiłował otworzyć, przerwało rozmowę.

— Nie męcz się próżno, ojcze niedźwiedziu, zawołał szydząc Dikhammel, drzwi są mocne nikt was nie usłyszy, bo teraz wszyscy ładowaniem żołądka zajęci. Jeżeli szanowni panowie nie wysłuchacie mej prośby, muszę sobie radzić inaczej, zapomnieliście że mam klucze, jest to więc bardzo grzecznie z mej strony, że nie otwieram wszystkich drzwi innym więźniom, zrobię to jednak jeżeli panowie będą zwłóczyć odpowiedź przychylną.

— Nie uczynisz tego Dikhammelu, zawołał referendarz, syndyk zaś szepnął: łotr gotów dotrzymać słowa, a tu jutro komisja nadjedzie i żadnego więźnia nie zastanie.

— Boże sprawiedliwy! krzyknął zrozpaczony referendarz załamując ręce,

— Może najlepiej zrobimy, jak oddamy suknie, co o tém sądzisz kolego? pierwszy to raz w tej krytycznej chwili, dał syndyk podwładnemu tytuł kolegi. Ale kolega nie był w stanie tego ocenić.

— Boże sprawiedliwy! co się stało z karnością i obyczajami? mówił z westchnieniem; czyniąc jednak zadość propozycji syndyka i zaczynając się rozbierać. Syndyk uczynił to samo. Dikhammel zaś przypatrywał się téj operacji ze spokojną uwagą i każdą sztukę ubrania odbierał przez okienko. Ubrali się potem spiesznie wraz z Ksawerym, porzuciwszy na korytarzu swe więzienne odzienie. Tak przeobrażeni puścili się na los szczęścia. Ksaweremu przychodziła myśl idącego z nim łotra, który na prawo i na lewo rzucał bystre spojrzenia, za kark schwycić i przytrzymać, ale niemógł dostrzedz nikogo, ktoby mógł mu w tem dopomódz; porywała go także ciekawość, jaki obrót weźmie ta jego przygoda, zostawił więc rzeczy losowi. Cichuteńko przeszli korytarz i schody, pozostawała im tylko sień, ciemna w samo nawet południe. Sprawa zatem zdawała się wygrana, żadna bowiem ludzka istota ich nie dostrzegła, a ubiór zabezpieczał ich na przypadek, gdyby jakie oko zwróciło się w ich stronę. Już dosięgli drzwi wchodowych, przed któremi siedział strażnik i wygrzewał się na słońcu.

— Ten ladaco niema chyba żołądka że jeść nie poszedł, szepnął Dikhammel przerażony, biorąc Ksawerego pod rękę. aby z nim razem obrócić się plecami do strażnika, tenże zobaczywszy tak znane mu surduty, zerwał się z siedzenia i przybrał wojskową postawę, aby salutować przechodzących urzędników. Już rękę do kaszkietu przyłożył, kiedy spojrzenie, które pozwolił sobie zwrócić w tym kierunku, sprawiło wielkie zaburzenie w jego umyśle; były to wprawdzie te same szanowne suknie, ależ figury, chód.... i wytrzeszczając daléj oczy sierżant dostrzegł, że spodnie obydwóch panów za krótkie były na ich nogi, zaczął więc trzeć oczy z wzrastającą energją i wołał: gdyby mi kto mógł powiedzieć czy to jest szanowny pan syndyk czy nie? Uciekający przestali iść, a biedz zaczęli. Nie pojmuję doprawdy, mówił sierżant, co to jest? ale musi coś być nie dobrego i miał zamiar zapytać się o to biegnących, ale gdy oni nie pokazali żadnej ochoty do rozmowy, lecz owszem dwoili swe kroki, sierżant ze swojej strony zabrał się do również żwawej przechadzki, wołając napróżno dla zwrócenia ich uwagi: hej! hola!

— Zdaje mi się, że chłopak na serjo nas goni, szepnął Dikhammel, posłyszawszy wołanie które do nikogo innego ściągać się nie mogło, lecz nie tracąc przytomności i nie oglądając się biegł daléj z Ksawerym. Rzucili się w wązką uliczkę, ale zawsze grzmiało za niemi głośne hę! hola!

— Rzućmy się w to podwórze, wołał Dikhammel, obawiając się żeby kto z przechodzących nie dopomógł goniącemu zastępując im drogę. Podwórze to, na które wpadli, miało schody drewniane prowadzące na drewniany także balkon, który obiegał w około domu, jak to bywa w dawnych budowlach; na jego końcu była komunikacja z ogromnym gołębnikiem. Dikhammel jednym susem przebiegł schody i wcisnął się do gołębnika, z którego wielką gromadą przerażona ludność skrzydlata zaraz wyemigrowała. Los Ksawerego był teraz oddzielony od zbrodniarza. Wszedł na korytarz, na którym dostrzegł szereg okien a żadnych drzwi przez któreby wejść można; miałże wrócić i oddać się w ręce sprawiedliwości i narazić się na żarty całej publiczności, która się zebrała krzykiem przywołana? nie lepiejże było cichutko się ztąd wymknąć? Szukając tu i owdzie. wszedł na jakieś schody, lecz ledwo stąpił kilka stopni, kiedy się na drugim końcu pokazała młoda dziewczynka wołając:

— Czy to jest pan referendarz Sznobeles, czy jego duch? surdut taki jak u pana refe-

rendarza, ale figura, ależ twarz, zupełnie inne i nie przypatrując się dalej, wróciła się w stronę, z której wyszła, zapewne aby wszystkim opowiedzieć, o zjawieniu się tabaczkowego surduta na innych plecach. Ksawery udał się tą samą drogą, którą ona przyszła i wszedł wkrótce do kuchni słysząc przez na wpół otwarte drzwi, jak w przyległym pokoju dziewczyna mówiła:

— Doprawdy wyrosł jak z pod ziemi, czyż ja to nie znam tabaczkowego surduta naszego stołownika? miał go właśnie pan Sznobeles kiedy nam towarzyszył na wieczorną przechadzkę, gdy nas napadnięto w czasie powrotu. Po wymówieniu tych słów drzwi się lepiej otworzyły i wtoczyła się pani syndykowa, cofając się z przerażeniem na widok Ksawerego, jakby zobaczyła widmo. Dziewczyna, która swą okrągłą, jak księżyc w pełni twarzyczkę, przez ramię matki wychyliła zawołała:

— Mój Boże czego chce ten okrutny człowiek, zkąd on wziął ten surdut?

Ksawery nie namyślał się długo, widocznem było, że wszedł do domu syndyka, dającemu także pomieszczenie referendarzowi, z którym wczoraj w tak oryginalny sposób zrobił znajomość. Pospieszył zatem uspokoić rodzinę co do spóźnienia ojca na obiad, a gdy mu się to udało, wyszedł frontowemi drzwiami na plac, doszedł bez przeszkody do ratusza, zażądał widzieć się z naczelnym dozorcą więzień, ażeby ułatwić uwolnienie zamkniętych jeszcze bezwątpienia urzędników.

Naczelny dozorca więzień, który Ksawerego jako oddanego mu wczoraj w wieczór, w świeżej miał pamięci, zdumiał, gdy go ujrzał wchodzącego, w tabaczkowym surducie referendarza, wtedy właśnie kiedy go mniemał w więzieniu. Kazał go więc zaraz zamknąć, nim sprawdził czy jego zeznanie prawdziwe jest. Jakoż wkrótce mógł się o tem przekonać. Gdy bowiem niespodziani więźniowie usłyszeli tylko kroki na korytarzu, poczęli zaraz wołać i hałasować żeby ich wyzwolono, a rozeznawszy szanowne głosy dostojników sprawiedliwości, naczelny dozorca musiał uwierzyć w prawdziwość słów, tymczasowego posiadacza tabaczkowego surduta. W jednej chwili drzwi otworzono i wyprowadzono rozczerwienionych, potem ze wzruszenia zlanych urzędników.

— Czy macie łotrów? zagrzmiał głos syndyka.

— Jeden siedzi tam na dole, w surducie pana referendarza.

— Dawajcie go tu na górę zaraz, do przesłuchania!


— Boże sprawiedliwy! westchnął referendarz, co powie pani syndykowa.... a zupa.,..


— Musimy czekać obadwa zadekretował syndyk, takiej sprawy zasypiać nie można; zeznania jednego, mogą nas na ślad drugiego naprowadzić. Zawołajcie pisarza, przynieście mi surdut z mojego mieszkania i stawcie łotra przed referendarzem. Referendarz szepnął jeszcze półgłosem w sposobie protestacji, wielki Boże! i wszyscy pociągnęli przez korytarz. W kilka minut później, już oderwany od obiadowego stołu, siedział na swem stanowisku pisarz z gotowością pisania protokółu, referendarz zaś pocieszając się jak można, po stygnącej bez niego zupie, puszczał kłęby dymu ze swej sążnistej fajki. Zerwał się nagle i stanął przed Ksawerym, którego właśnie wprowadzono.

— A więc to ten ptaszek! patrząc mu bystro w oczy, dodał: ściągaj surdut. Ksawery uczynił to zaraz, a prawny właściciel tabaczkowego surduta, obmacał i obejrzał na wszystkie strony podszewkę, kieszenie, guziki, a znalazłszy wszystko w pożądanym stanie, wziął go na siebie. Humor też jego zaraz się polepszył, gdy się znalazł w ulubionej sobie odzieży. Znów mu się wszakże zachmurzyło czoło, gdy w Ksawerym zaczął poznawać wczorajszego swego napastnika.

— A, a, zdaje mi się że cię już znam; podobnośmy się wczoraj na ulicy spotkali i podobno, gdyby to było od ciebie zależało, źle bym wyszedł na tém spotkaniu. Ale zmieniły się rzeczy. Kiedy cię mamy, musimy się dowiedzieć o twoich sprawkach, i zaczął mu robić pytania, od których się zwykle zaczyna robić każdy protokół ciągnięty z aresztowanego. Ksawery zwrócił się w stronę, w której wśród dymu puszczanego przez referendarza, siedział pisarz, ażeby mu dawać odpowiedzi. Była to nowość, na której widok aż zaczerwienił się referendarz, zwykł był bowiem sam dyktować odpowiedzi badanego do protokółu, usłyszawszy wprzód takowe z ust jego. Wzruszony, zerwał się z miejsca i z założonemi wtył rękoma patrzał w oczy śmiałkowi. Gdy jednak Ksawery potrącając wszyskie tradycje urzędnicze, sam, nie czekając nawet na pytania, opowiedział swoje imie, nazwisko, wiek, miejsce urodzenia swego, referendarz wyciągnął z najgłębszej kieszeni swego tabaczkowego surduta, okulary, nałożył je na nos, ażeby się jeszcze lepiej tak niebezpiecznemu indiwiduum przypatrzyć. Tymczasem badany znalazł za stosowne odkryć kim był i podyktował do protokółu: nadetatowy urzędnik sądowy wysłany do trybunału Bolcen. Aktuarjuszowi wypadło pióro z ręki, a referendarzowi okulary, od czasu bowiem jak w Bolcen istniał trybunał, żaden urzędnik nie był zainstalowanym w tak dziwny sposób. Nastąpiły potrzebne wyjaśnienia. Papiery Ksawerego sprowadzono z oberży *pod jeleniem* i sprawa cała została zameldowaną syndykowi.

(D. c. n.)


KÓŁKO DOMOWE
Listopad 1866 r.
Sophie
Victorine
Maria
Louise
Marie
Esther
Bertha
Gabriele
MF
MK
Sara


KÓŁKO DOMOWE
Listopad 1866r.
Nro. 1.
Nro. 2.
Nro. 3.
Nro. 4.
Nro. 5.
Nro. 6.
Nro. 7.
Nro. 8.
Nro. 9.
Nro. 10.
Nro. 11.
Nro. 12.
Nro. 13.
Nro. 14.
Nro. 15.
Nro. 16.
Nro. 17.
Nro. 18.
Nro. 19.
Nro. 20.
Nro. 21.
Nro. 22.
Nro. 23.
Nro. 24.
Nro. 25.
Nro. 26.
Nro. 27.
Nro. 28.
Nro. 29.
Nro. 30.